

Z okazji setnej rocznicy urodzin Szymona i Eugenii Kobeckich

Wieczory przy lampie Tatusia

Poeta i dusza towarzystwa, humorem potrafił rozjaśnić najbardziej ponure czasy. Ona lubiła muzykę, taniec i... gości. Przeżyli razem 48 lat.



Szymon i Eugenia
Kobeccy, 1937 r.

Od wczesnego dzieciństwa pamiętam duże biurko, przy którym siadywał wieczorami Tatus i pisał. Na blacie zawsze stała duża lampa z białym szklanym kloszem. Dziwię się, jakim sposobem ta lampa przetrwała tyle przeprowadzek – Mama z Tatusiem w ciągu czterdziestu ośmiu lat swojego wspólnego życia przeprowadzali się – i to nie tylko z mieszkania do mieszkania, ale i z miasta do miasta (a przy tym zmieniały się i granice państw) – aż siedemnaście razy. Potem, kiedy Tatus przeszedł już na emeryturę, powiedział, że potrzebuje biurka. Lampa znów paliła się wieczorami... A teraz świeci na moim biurku i przypomina mi tamte czasy, kiedy mieszkaliśmy wszyscy razem, we czworo – Mama, Tatus, moja siostra Aleksandra i ja.

Najpierw były Troki. Zarówno Tatus, jak i Mama urodzili się tu w 1911 roku. Tatus w rodzinie Aleksandra i Barbary Kobeckich, Mamusia w rodzinie Eliasza i Beaty Dubińskich. Znali się od dzieciństwa, mimo że w czasie I wojny światowej ich rodziny zostały ewakuowane do różnych miast Rosji. Kobeccy spędzili dłuższy czas w Pskowie i St. Petersburgu, gdzie jeszcze na przełomie XIX i XX wieku mój pradziad, Michał Kobecki miał na Newskim Prospekcie sklep z półszlachetnymi kamieniami *Uralskije samocvety*. Dubińscy zaś znaleźli się w Moskwie i Eupatorii. Po powrocie do Trok w 1920 r. moi przyszli rodzice uczyli się razem, w tej samej klasie przez siedem lat. Potem Tatus zdał do szkoły technicznej w Wilnie przy ulicy Holenderskiej na wydział drogowy, Mama – do seminarium w Trokach. Obie rodziny nie były zamożne, nie mogły sobie pozwolić na dalszą naukę dzieci. Choć starszy brat Tatusia, Michał już od 1922 roku sam zarabiał na chleb w Warszawie, w domu zostały jeszcze dwie siostry – starsza Lidia i najmłodsza Janina. Tatusiowi w czasie jego nauki pomagał stryj, Gabriel Kobecki, który mieszkał wówczas w Tallinie i miał tam swoje nieduże przedsiębiorstwo (dowiedziałam się o tym

o wiele później, kiedy jako ambasador Litwy przebywałam na placówce w Tallinie i na miejscowym cmentarzu odnalazłam grób Kobeckich – stryjecznego dziadka Gabriela i jego żony, Oni (Asienat) z Dubińskich. Cieszę się, że dzięki pomocy mego następcy na stanowisku ambasadora udało się uporządkować groby i postawić skromny pomnik.)

Po zakończeniu nauki w szkole technicznej i odbyciu służby wojskowej Tatus podjął pracę. Jedną z pierwszych dróg, budową której kierował i o której nam opowiadał, była wyłożona brukiem szosa z Wilna do Grygiszek. Bardzo był dumny z tej swojej pierwszej, tak udanej pracy. Do dziś istnieje ten bruk, po którym teraz tylko z rzadka przejeżdża jakaś miejscowa furmanka. Potem Tatus pracował przy budowie dróg na terenie dzisiejszej Białorusi.

Po ślubie w 1937 roku rodzice przez jakiś czas mieszkali w Wilnie, też kilkakrotnie zmieniając mieszkania i gospodarzy. Pamiętam opowiadania o zebraniach Karaimów w parafialnym domu w podwórku kienesy, o wileńskich ulicach, o towarzyskich spotkaniach (najbliższym przyjacielem Tatusia w tym okresie był Tatar, Mirza Tuhan-Baranowski, którego potem udało się odnaleźć w Kanadzie), o teatrach, o występach Hanki Ordonówny i ukraińskiej operetki ze Lwowa, która prezentowała się również w Trokach. W latach 1948–1955 ten sam zespół z Ukrainy dał przedstawienie w teatrze w Szawlach i Mama poszła za kulisy zapytać, czy może jest jeszcze w zespole ktoś z tamtych czasów. I – o dziwo – prawie wszyscy artyści byli ci sami. To było nie do wiary. Zaprosiła ich do domu – była duża uczta, a jeden z muzyków nastroił nasz fortepian, który właśnie w tym czasie zajął ważne miejsce nie tylko w dużym pokoju, ale i w całym naszym życiu. Mamusia uwielbiała teatr (to dzięki Niej obie z siostrą zaczęłyśmy chodzić na spektakle jeszcze jako uczennice szkoły powszechnej w Szawlach), operetkę, muzykę, śpiew; uważała że dziewczynki powin-

ny umieć grać na fortepianie, pięknie haftować i czytać poezję. Sama nam czytała dużo wierszy, opowiadała bajki, śpiewała różne piosenki – karaimskie, polskie, ukraińskie, lubiła śpiewać przy każdym zajęciu, a jej haftowane serwetki, makatki, poduszcзки były naprawdę dziełami sztuki. Gdy mieszkali w Wilnie u Anny Firkowicz [mamy Zosi i Bemy], Mama pobierała bardzo pożyteczne lekcje kulinarne i później, gotując coś czy piekąc, mówiła, że to według przepisu Anny.

W 1938 roku Tatuś został skierowany do pracy do Berezolupów na Wołyniu. Mama opowiadała, że było to nieduże miasteczko, w którym młoda para szybko zyskała przyjaciół wśród miejscowych Ukraińców, a na weekendy jeździła od czasu do czasu do Łucka, gdzie spotykała się z miejscowymi Karaimami. Mama zaprzyjaźniła się zwłaszcza z rodziną Robaczewskich i panią Liną Szulimowicz z Halicza, która bywała w Łucku. W 1957 r., kiedy już można było odwiedzić krewnych w Warszawie, spotykała się tam z nimi. Opowiadając nam o swoim pierwszym powojennym pobycie w Warszawie u stryja Michała, Mama ze szczególnym wzruszeniem mówiła nie tylko o trockich krewnych, których nie widziała przeszło dziesięć lat, ale i o swoich halickich i łuckich przyjaciółach. Bardzo się cieszyła, że mogła się spotkać z panią Aliną Robaczewską i jej synem Eugeniuszem, wówczas już znanym artystą Teatru Syrena, a którego pamiętała jeszcze jako dziecko.

Tam, na Wołyniu zastała rodziców II wojna światowa. Szczęśliwy zbieg okoliczności pozwolił im jesienią 1939 roku wrócić furmankami do Trok. Półtora roku później wojna napotkała ich powtórnie w stronach rodzinnych. Z lektury wspomnień profesora Szymona Pileckiego¹ dowiedziałam się, jak dużo dla życia kulturalnego i społecznego Karaimów zrobił Mój Tatuś w tym okresie. Sam nigdy się tym nie chwalił.

Jeszcze w młodości pisywał wiersze po karaimsku i po polsku (pierwsze w 1928 roku przeważnie o miłości, o Trokach), również drobne utwory sceniczne, które potem reżyserował. Tematem tych scenek były zazwyczaj wady ludzkiego charakteru. Tatuś nie lubił pychy, zdrady, głupoty, chytryści, sknerstwa. Dlatego wyśmiewał dusigrosza albo głupca mającego nieuzasadnione ambicje, chciwego, chytrego. Robił to jednak zawsze z wyczuciem miary, żartobliwie. Bo w gruncie rzeczy był bardzo życzliwym człowiekiem. Pisał wesołe skecze, komiczne scenki z życia ulicy Karaimskiej



Rodzina Kobeckich z zięciem, Henrykiem Golaszewskim, mężem Aleksandry, 1967 r.

w Trokach. Patrzył na wszystko z uśmiechem i ironią, ale nigdy z sarkazmem. Nie pamiętam, żeby ktoś był za to obrażony, choć w młodości razem ze swoimi przyjaciółmi, Elkiem Tynfowiczem, Romualdem Ławrynowiczem, Marcinem Firkowiczem i innymi nieraz płatali różne figle i Tatuś, jako człowiek z inicjatywą, pełen twórczej fantazji, był ich inspiratorem. Chyba z tego powodu obdarzono go wesołym przezwiskiem Figo-fago. Żartował, że chciał być artystą dramatycznym, a brali go tylko do ról komediowych.

Tatuś nigdy nie troszczył się o dobra materialne, potrafił nawet dopłacić komuś, kto zabrałby z domu niepotrzebne jego zdaniem rzeczy albo sam je rozdawał (płaszcz, buty czy nawet radio). Nie zawsze to było przychylnie przyjmowane przez Mamę, ale trudno – Tatusia nie dało się zmienić. Kiedy poszłam do szkoły, powiedział mi, że zły to uczeń, który nie dostaje dwójek, więc jeżeli przyniosę dwójkę, to zapłaci mi pięć rubli, a za piątkę – tylko jednego. Mimo niby zachęcającej propozycji rozumiałam, że to był żart i nigdy tych pięciu rubli nie otrzymałam. Tatuś oczywiście był zadowolony i żartował, że egzaminy dlatego zdaję na piątki, bo on trzyma palec w kałamarzu.

Następnym etapem w życiu naszej rodziny była praca Tatusia w Możejkach, Szawlach, Poniewiezu i bardzo krótko w Tiruliai koło Szawel. Jako zawodowy drogowiec Tatuś miał tam sposobność wykazania się swoimi zdolnościami organizacyjnymi i fachowymi. Przez dziesięć lat był kierownikiem urzędów drogowych w tych miastach. Obie z siostrą bardzo lubiliśmy jeździć latem razem z Tatusiem na budowę dróg. W ten sposób poznałyśmy nie tylko dużo miast i miasteczek w północnej Litwie, a także

nazwy wielu maszyn drogowych. Do dziś na widok prac drogowych odczuwam jakiś szczególny sentyment, choć mój własny zawód był bardziej zbliżony do Tatusiowego hobby niż do Jego profesji. Dzisiaj, co prawda, wydaje mi się, że ze względu na usposobienie i stosunek Tatusia do życia od techniki bliższa mu była humanistyka.

Ponieważ rodzice lubili życie towarzyskie, w naszym domu zawsze było dużo gości – dom był przyjazny dla znajomych tak rodziców, jak i naszych. Prowadzili bardzo otwarty tryb życia. Jestem bardzo wdzięczna rodzicom za możliwość poznania tylu ludzi, za to, że nauczyli nas szacunku dla osób starszych, dla krewnych i rodzeństwa, staromodnej grzeczności, odnoszenia się do wszystkich przyjaźnie, co bardzo przydało się nam w życiu. Mama bardzo ceniła swoją rodzinę. Dużo opowiadała o rodzinie Babci, Beaty Dubińskiej z domu Łobanosówny, o życiu swojej ciotki, Emilii Szole-Jutkiewiczowej, u której często gościła, o wujach Łobanosach, z których jeden, Rafał był żonaty z miss Europy 1937 roku, Tatianą Masłową (szkoda tylko, że te opowiadania wówczas bardzo łatwo przez jedno ucho wchodziły, a przez drugie natychmiast wychodziły. Niewiele zostało w pamięci, ale zdjęcia wujecznego dziadka Rafała i uroczej Tatiany do dziś przechowuję i wiem z późniejszych opowieści wujka Aleksandra Dubińskiego, że potem została malarką, mieszkali w Niemczech i oboje są pochowani na cmentarzu we Frankfurcie nad Menem).

Ze względu na głęboki szacunek dla rodziny, oprócz osób obcych, gościło w naszym domu dużo stryjecznych siostr i braci (miałyśmy ich siedemnaścioro). Tatuś, który kiedyś sam otrzymał pomoc od swego stryja, teraz uważał za obowiązek i przyjemność pomaganie swoim krewnym. Gościli u nas siostrzeńcy oraz siostrzenice zarówno Mamy, jak i Tatusia: Zosia Józefowicz–Szpakowska, Zosia Dubińska–Robaczewska, Gabriel, Michał i Szymon Józefowicze, Aleksander i Daniel Jutkiewicz, Romuald i Aleksander Firkowicze, Nina Firkowicz–Kozyrowiczowa ze swoim mężem Markiem i ich syn Józef, Ada Firkowicz... Wielu, niestety, już nie żyje... Przyjazd kuzynek i kuzynów stanowił duże święto. A ile było przy tym radości, śmiechu i zabaw...

Szczególnie uroczyste były obchodzone urodziny moje i siostry. Zapraszałyśmy kolegów

z klasy, Mama piekła geś, Tatuś wymyślał zabawy. Najśmieszniej bywało z pajacem tańczącym w takt śpiewu Tatusia „Figo-fago, figo-fago”. W dzieciństwie nie bardzo się orientowaliśmy, skąd ten pajac tak dobrze umie tańczyć, Tatuś nie zdradzał sekretu, że to on umiejętnie porusza pajacem wiszącym na niewidocznej niteczce. Pokaz tańca odbywał się tylko z bardzo uroczystych okazji. Potem pajac zaczął swoje nowe życie już dla wnuków.

Ze dwadzieścia lat po maturze spotkałam swoich byłych kolegów z klasy w Szawlach i usłyszałam słowa wdzięczności dla mojej Mamy za to, że nauczyła ich tańczyć. Tak, naprawdę! Przecież to były czasy, kiedy nikt takich rzeczy w szkole nie uczył.

Tatuś zawsze umiał zabawić każde towarzystwo. Gdy jeździł do domów wycieczkowych, natychmiast zbierała się wokół niego duża grupa ludzi w różnym wieku. Potrafił rozweselić każdego, a powodzenie u pań miało stuprocentowe. Nikt się nie nudził, wesoło spędzali czas. Jeszcze i dziś moi przyjaciele przypominają żarty Tatusia i pytają, czy ja to pamiętam. Pamiętam jedynie te, które słyszałam będąc już panienką i później, bo w dzieciństwie nam z siostrą nie pozwalano siedzieć przy stole, gdzie bawiło się dorosłe towarzystwo.

Tę cechę Tatusia – być wszędzie duszą towarzystwa – zna każdy, kto kiedykolwiek z nim się zetknął. Nieraz słyszałam to od ludzi, których poznałam później, niestety już po śmierci Tatusia, więc nie mogłam mu tego przekazać. Zdarzało się też, że gdy jako dyrektor generalny departamentu w litewskim rządzie załatwiałam sprawy urzędowe, pomagało mi samo nazwisko – bo ten czy inny pracował kiedyś z moim Ojcem. Słyszałam również wiele o jego szlachetnym postępowaniu. Pewna pani, którą spotkałam pracując w Tallinie, gdzie musiała zamieszkać po powrocie z Syberii, bo nie pozwolono jej wrócić na Litwę, dziękowała Tatusiowi za to, że jako kierownik wydziału drogowego w Szawlach nie bał się zatrudnić jej brata, który również był wywieziony na Syberię i po powrocie miał duże trudności ze znalezieniem pracy z tego właśnie powodu. Tatuś pomagał ludziom bez względu na ich poglądy polityczne i status – czy wrócili z więzienia lub z zesłania, czy byli prześladowani. Korzyści z tego nie miał, był po prostu uczciwym człowiekiem i w ten sposób przeciwstawiał się

Pogodne usposobienie i życzliwość zjednywały mu sympatię ludzi

ustrojowi, którego nie uważał za porządnego. Nigdy nie należał do partii komunistycznej, często kpił z tych, którzy dla kariery wstąpili do partii, a jeszcze bardziej z tych, którzy zmieniali poglądy według koniunktury, nazywając takie osoby „perekulkami”, czyli kurkami na kościele.

Podobne usposobienie, pogodne, życzliwe, dowcipne, mieli też Jego brat Michał i siostry, Lidia i Nina. Jak świetnie umieli wszyscy opowiadać różne rodzinne historie z minionych lat! Babcię Barbarę pamiętam bardziej z tych opowiadań niż na żywo, bo po wojnie mieszkała w Warszawie, u stryja. Powiedziałabym, że Tatusz był arystokratą ducha – sprawy codzienne go nie obchodziły. Twierdził, że tym powinny zajmować się kobiety, dlatego nie chodził na zakupy, nie umiał gotować, nie zmywał naczyń, nie prasował spodni ani koszul, nie prał skarpetek, nie sprzątał mieszkania. Kiedy raz został sam w domu z moją małą siostrą i musiał zmienić pieluchy, posłał mnie po babcię. Miałam wtedy trzy i pół roku. Na szczęście mieszkaliśmy blisko, na tej samej ulicy. Pamiętam też lato, kiedy my z Mamą wyjechałyśmy na wakacje do Trok. Gdy wróciłyśmy po trzech tygodniach, cała kuchnia zastawiona była brudnymi naczyniami – wszystkie talerze, kubeczki, filiżanki, widelce, łyżki zostały zużyte...

Trzeci etap w życiu Tatusia i naszej rodziny wyznaczył powrót po dziesięciu latach do Wilna. Był to rok 1956. My z siostrą po raz kolejny zmieniałyśmy szkołę – ja po raz siódmy, siostra po raz czwarty. Tatusz też był w nowej pracy, zaczęła pracować i Mama. Zmienił się nasz tryb życia. Przedtem, gdy wracałyśmy ze szkoły, Mama zawsze była w domu. Miałyśmy obiad i – co najważniejsze – możliwość natychmiastowego opowiedzenia wrażeń, porozmawiania na każdy temat, wyżalenia się, jeżeli coś się nie udało... Teraz tego najbardziej brakowało. Pogorszyły się również warunki życiowe – z dużego mieszkania przenieśliśmy się do jednego pokoju ze wspólną, nieogrzewaną kuchnią i ubikacją. Ale Tatusz nie tracił humoru i opowiadał wszystkim, że mamy siedem pokoi, tylko między nimi ścian nie ma.

Najdziwniejsze, że nikt ze znajomych nie odczuwał ciasnoty naszego mieszkania. W ciągu pięciu lat moich studiów wszystkie „potańculki” odbywały się u nas. Rodzice i siostra stali się członkami naszego roku. A ile ludzi u nas nocowało! W tym jednym pokoju stało to samo duże biurko i ta sama lampa z białym szklanym kloszem. Odrabialiśmy tu lekcje, czytałyśmy książki, pisałyśmy listy.

Tatusz też powrócił do swoich brulionów. Mam je do dziś. Podziwiam Mamę za to, że zdołała to przechować, tyle razy zmieniając mieszkania. Bo to zawsze Mama pakowała rzeczy i decydowała, co trzeba zabrać. Ale musieliśmy pożegnać się z fortepianem, a jego miejsce – jeszcze w Poniewieżu – zajęło pianino, bo przecież chodziliśmy do szkoły muzycznej. Do Wilna przyjechało razem z nami i stało tu, w tym jednym pokoju. Mieścił się też okrągły stół. Dla gości można było go rozłożyć i posadzić przy nim co najmniej 15 osób. Nikt nie był pokrzywdzony, tylko pajac już nie tańczył – wyrosliśmy. Ale dowcipy Tatusia i wesoły nastrój towarzyszyły nam zawsze.

Pamiętam, jak raz, już w moim życiu dorosłym, Tatusz niezbyt dobrze się czuł i nie przyjechał na moje urodziny, na których jak zwykle zebrali się moi przyjaciele ze studiów i koledzy z pracy. Natychmiast padło pytanie – Gdzie jest pan Kobecki? Dzwonią do niego i Tatusz decyduje się przyjechać. Był bardzo wzruszony, bo lubił audytorium, które z zachwytem słuchało Jego dowcipnych opowieści i kawałów. Gdy z Warszawy przyjeżdżał na wakacje jedyny wnuk, Szymon, zbierał duże grono jego rówieśników z całego podwórka i bawił się razem z nimi – strzelał, rozrabiał jak dziecko, pozwalał im na wszystko, kupował nie tylko lody, ale i rozmaite strzelby, mnóstwo zabawek... Szymek do dzisiaj wspomina, jak świetnie było latem u Dziadków w Wilnie.

Mieszkając w Wilnie, byliśmy bliżej spraw karaïmskich. Co prawda, nigdy od nich nie oddaliliśmy się, rozmawialiśmy po karaïmsku w domu, nie zważając na otoczenie. Było to dla nas naturalne, a dziś, kiedy ludzie skarżą się na brak warunków dla kultywowania języka, wygląda na bohaterstwo. Może i tak było, przecieć przez dziesięć lat żyliśmy w zupełnie obcojęzycznym środowisku. To z kolei pomogło nam opanować litewski, ale to już inna para kaloszy. Tatusz był, skoro o tym mowa, organizatorem pierwszych kursów litewskiego jeszcze w Trokach w 1940 roku i kiedy w 1946 roku wyjechaliśmy do Możejtek, my nie rozumiałyśmy ani jednego słowa po litewsku, a On już pięknie mówił. Ja nauczyłam się dopiero w szkole, Mama – rozmawiając z sąsiadkami, które nie znały żadnego innego języka oprócz litewskiego i to żmudznego dialektu. Siostra miała najłatwiej, bo z dziećmi na podwórku szybko i łatwo to jej poszło. A poza tym była bardzo zdolna.

W Wilnie Tatusz znów wieczorami siedział przy biurku. W moich wspomnieniach najczęściej



Grupa teatralna przed muzeum karaïmskim, Szymon Kobecki stoi w centrum, Troki 1943 r.



Szymon Kobecki,
Wilno 1975 r.

widzę Go siedzącego przy tej lampie. Pisał dużo wesołych wierszy z okazji ślubnych jubileuszy, urodzin przyjaciół, na każdą imprezę, na którą był zaproszony. Sprawiało to mu radość i przyjemność, bo zawsze uwielbiał towarzystwo. Napisał również wiele elegii żałobnych po śmierci swoich bliskich. Był obdarzony poetyckim talentem. Może dlatego lubił poezję, Puszkina, Niekrasowa, Lermontowa. Od razu można poznać, które książki czytał – wszystkie mają specjalny znak – krzyżyk zrobiony paznokciem. Oprócz poezji, czytał książki historyczne i memuarystykę. Uwielbiał satyrę, którą również sam tworzył. Znał na pamięć wiele baśni, potrafił też wyrecytować odpowiedni fragment wiersza przy danej okazji.

Gdy przeszedł na emeryturę, zażądał nowego biurka, bo na to duże, które mieściło się w jednopokojowym mieszkaniu, nie było dość miejsca w dwupokojowym, do którego przeprowadziliśmy się w 1964 roku. Przy nowym biurku, lecz przy tej samej, starej lampie z białym szklanym kloszem wpisywał do starego brulionu swoje nowe utwory, notował dowcipy. Nie tylko pamiętał ich mnóstwo, ale również świetnie je opowiadał, wiedząc, co w nich podkreślić, nie unikając niezupełnie przyzwoitych słów. Jeden z siostrzeńców (dziś już nieżyjący) próbował powtarzać te kawały. Bez powodzenia. Nie mógł zrozumieć, dlaczego wujka nikt nie oskarżał o wulgarność, a jego – natychmiast. Po prostu brak mu było tego wyczucia nastroju, tej lekkości i inteligencji, którą miał mój Tatuś potrafiący z każdego dowcipu zrobić słowne dzieło sztuki.

Wielu w Trokach pamięta, jaki stanowczy był w stosunku do moskiewskich towarzyszy, którzy chcieli zabrać spuściznę Szapszała, przyjeżdżali z propozycjami zamknięcia trockiej kienesy, oskarżali nas o idealizm, o różne „odchylenia” od komunistycznej ideologii. Nie brakowało i miejscowych Karaimów, bardzo „ideowych” w tamtych czasach, a dziś piekielnie „dbających” o tożsamość narodową dla własnej korzyści. Tatuś powiedziałaby „perekulka”, a może nawet napisałby o tym zabawną historyjkę.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy nasz jedyny hazzan Szymon Firkowicz nie mógł już odprawiać nabożeństw i nie było

komu modlić się podczas *kielaszmiaku*² czy *sahyncz*³, zastępował go mój Tatuś, na zmianę z zięciem, Michałem Firkowiczem. Należeli do tych nielicznych żyjących jeszcze, którzy uczęszczali kiedyś na lekcje religii karaimskiej.



Tatuś zmarł w 1985 roku, w wieku 73 lat, lecz nigdy, moim zdaniem, nie czuł się naprawdę dorosły. Może dlatego wszyscy Go lubili i wszystkim było tak łatwo porozumieć się z nim. Żałował tylko jednego – że nie miał dwanaściorga dzieci. Był to oczywiście żart, ale taki odrobinę na serio. Jak zwykle.

Mama zmarła półtora roku po nim, w 1987 roku, w wieku 75 lat. Wielka szkoda, że oboje nie doczekali się tych doniosłych zmian, niepodległości Litwy. W tym roku oboje obchodziliby swoje setne urodziny. Dzisiaj tę rocznicę świętujemy my, potomkowie Eugenii i Szymona Kobeckich: córki Halina i Aleksandra, wnuki Beata, Karina i Szymon, prawnuki Andrzej, Olgierd, Aleksander i Igor. Niestety, obaj zięciowie też już odeszli... My, zawsze pamiętający Mamę, Tatusia, Babcie i Dziadka modlimy się za ich szlachetne Dusze i przekazujemy rodzinne opowiadania ich wnukom i prawnukom. *Jarych sahyncz aruw Dżanlaryna*⁴!



Za życia Tatusia Jego utwory nigdy nie ukazały się drukiem, choć scenki jego autorstwa wystawiane były przez amatorski teatr karaimski w Trokach. Kiedy w 1988 roku odrodziła się organizacja karaimska, moi koledzy z roku poprosili mnie, bym opublikowała karaimskie wiersze. Pierwszy wybór w tłumaczeniu na litewski został zamieszczony w magazynie *Švyturys* (Latarnia morska). Wydrukowano tam również jeden wiersz Tatusia – *Anar* (Dla niej). Rok później, gdy w Trokach odbył się międzynarodowy zjazd Karaimów, wydano pierwszy zbiór karaimskiej poezji *Karaj irtary*, który przygotował do druku mój nieżyjący już mąż, Michał Firkowicz. W tym zbiorze znalazło się sześć karaimskich wierszy Tatusia. W 1997 r., kiedy obchodziliśmy w Trokach i Wilnie uroczystą rocznicę 600-lecia przybycia Karaimów i Tatarów na Litwę, pod redakcją mojej córki, Kariny Firkavičiūtė ukazał się wybór karaimskiej poezji wraz z tłumaczeniem na litewski, zatytułowany *Čypčychlej učma Trochka* (Jak ptak poleciałbym do Trok), w którym zamieszczono pięć wierszy pióra Tatusia.

Halina Kobeckaitė

Przypisy:

¹ Szymon Pilecki, *Chłopiec z Leśnik, Dziennik z lat 1939–1945*, Wrocław 2009.

² karaim.: zaręczyny.

³ karaim.: wspomnienie.

⁴ Jasna pamięć ich czystym duszom.